

PIERRE COTTIN



Grains de lumière Ziarna światła

Projekt sfinansował Urząd Miasta Stołecznego Warszawy
i Instytut Francuski w Warszawie



Stara Galeria Związku Polskich Artystów Fotografików

Patronat medialny:

artinfo.pl fotopolis.pl



sztukapl foto

ZIARNA ŚWIATŁA

Najpierw był telefon. Nie pamiętam już, który z nas zadzwonił pierwszy. Wiele lat Antek i ja nie słyszeliśmy się ani nie widzieliśmy.

Każdy żył w swoim kraju unoszony tumultem codzienności. Od pierwszej chwili ton rozmowy był jowialny, ciepły, przyjazny jak za dawnych czasów.

Rozmawialiśmy o wszystkim: o rodzinach, dzieciach, pracy, o wspomnieniach trudnych ale i pięknych. Trochę jak stare wygi.

Nagle Antek powiedział: „A twoje zdjęcia! Wciąż uśpione?” To była piękna... i jakże celna metafora. Bo oznaczała, że fotografie są żywe i, że, być może, jak w bajce... czekają aż jakiś dobry książę przybędzie aby je rozbudzić. Wiedziałem, że moje polskie zdjęcia wyjdą kiedyś z mroku. Chciałem wierzyć w stałość procesu dojrzewania, w trwanie i spokój, pozwalające na wyklarowanie, tak jak niewystawiony aromat wyzwała się w starym winie niczym jakiś „ekstrakt” utrwalający pewną epokę. Dzięki powolnej dekantacji kształtuje się ostateczny smak...

To sygnał, że nadeszła właściwa pora...

Bardzo rzadko otwierałem tę komodę z jasnego drewna. Do trzech szerokich szuflad wkładałem jedynie przedmioty nieco przestarzałe, ale warte zachowania.

Stary aparat fotograficzny, światłomierze, mały statyw, kable, pudełka i akcesoria, lampy błyskowe, rozmaite drobiazgi, instrukcje obsługi, magazyny fotograficzne. W dolnej szufladzie leżały: serie slajdów w teczkach zatytułowanych „Burgundia”, „Dolina Loary”, „Wenecja”, „La Dombes”, „Drzewa” oraz dwa skoroszyty negatywów

„Polska”, neser pełen niepiszących wiecznych piór, cylindryczne pudełko z kredkami i tekturowe - wypetnione kamykami, które mój syn zbierał w czasie, kiedy był „poetą - zbieraczem cennych kamieni”... Obok, w kopercie z brązowego papieru - kilkanaście kluczy do zamków, do nieznanych drzwi, nieistniejących samochodów, zagubionych piwnic.

Sięgnąłem po teczkę „Polska”. Teraz wybór stał się oczywisty... Wyselekcjonowałem kilka negatywów, wywołałem kilka odbitek, proces dekantacji miał się ku końcowi...

Już od 1983 roku nosiłem się z zamiarem tej sesji fotograficznej w Polsce według ściśle określonych zasad. Miały to być portrety intymne, indywidualne zbliżenia bez ambicji socjologicznego studium. Chciałem otrzymać spojrzenia ludzi unikając zbyt wielu pytań na temat ówczesnej sytuacji w Polsce, które mogłyby wzbudzić zakłopotanie. Próbowałem dostrzec ludzi, którzy wtedy tam żyli. A z tej mozaiki obrazów stworzyć, w miarę możliwości, coś w rodzaju „wrażliwego” portretu tamtych czasów. Nie mówiłem po polsku, ale towarzyszyła mi Ewa Myszką, łodzianka, nauczycielka francuskiego.

Miała ona wówczas zakaz wykonywania zawodu, jako aktywna działaczka Solidarności... Wiedziałem, że w tej dyskretnej, wojowniczej i zdeterminowanej osobie zyskuję autentyczną podporę, dzięki której uda mi się wykonać planowany reportaż. Później dołączył Antoni Rodowicz. Był moim pilotem i stał się przyjacielem. Jego małym Fiatem przemierzaliśmy Polskę wzdłuż i wszerz, latem i zimą. Antoni, absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych był nie tylko utalentowanym grafikiem ale i artystą głęboko przejętym sensem Historii, człowiekiem ceniącym przyjaźń. Ewa i Antek, oboje miłośnicy języka francuskiego - to moje pierwsze głębokie więzy z Polską.

Zawsze będę im za to wdzięczny.

„Nie ma przypadków, są jedynie spotkania” - J.L. Borges

Chciałem, żeby mój reportaż charakteryzowała prostota i lekkość. Pracowałem z aparatem 24x36 i dwoma obiektywami. Fotografowałem w czerni i bieli bez dodatkowych oświetleń i bez statywu.

Nie chciałem kadrować podczas wywoływania. Obrazem ostatecznym miało być pierwsze ujęcie, traktowane jak coś oczywistego. Więc o ile czas mojego „przymierzania się” trwał długo, sam moment fotografowania był bardzo krótki. Wykonywałem od pięciu do dwunastu klatek każdej osobie.

Po czym czas przechowywania zdjęć w ukryciu nadawał fotografiom smaku głębi w ponadczasowej ciszy. Z tej głębokiej i czutej tajemnicy, która się tworzyła czerpałem prawdziwą satysfakcję.

Każdy obraz stawał się prezentem, który mi ofiarowywano i który otrzymałem.

Podczas wydobywania fotografii na światło dzienne, gdy otworzyłem szufladę i teczki, uchyliłem również wieczko tekturowego pudełka zawierającego „piękne kamyki” nazbierane przez mojego syna, zachowane na pamiątkę naszych nieco magicznych wypraw... Podobnie jak flasz-back filmowy, historia jednej z nich powraca do mnie i ukazuje wszystko w świetle dnia dzisiejszego.

To był spacer u schyłku jesieni w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, w listopadową niedzielę. Jeden z tych wyjątkowych dni, kiedy silne wiatry unoszą ostatnie liście tej pory roku odpywającej w gwałtownych podmuchach i zawirowaniach wiatru. Znajdowaliśmy się z synem na szerokiej wiejskiej drodze, w Dombes, krainie tysiąca jezior, regionie, który przypominał polskie Mazury. Byliśmy z dala od wszystkiego! Na prawo, ogromne topole poruszające gałęziami z szumem nawałnicy. Na lewo, staw z odbijającym się niebem pełnym szaro-czarnych i białych chmur z delikatnymi, ruchomymi, niebiesko - kobaltowymi prześwitami. Na horyzoncie, kilka kropli ukośnego światła rozświetlało zachód słońca dziwnymi złotymi i pomarańczowymi smugami. O tej porze wieczoru wiatry malowały tym cudownym światłem ostatnie liście trzymające się jeszcze na drzewach niczym złote monety z iskrzącego się skarbu. Na samym brzegu wody potyskującej od silnych podmuchów wiatru, trawy i trzciny kołysały się falującymi obrotami. Mój synek miał sześć lat i gnał przed siebie jak oszalały na rowerku po czym zawracał pędem smakując w pełni chwile radości jakie daje w tym wieku jedynie rower! Szukał ładnych kamyków, małych oryginalnych kamieni. Wkładał je do kieszeni kurtki lub do torebki zawieszanej na kierownicy. Nagle... mój syn, który wyrwał się sto metrów do przodu zawrócił z powrotem, pedałował teraz z całych sił i krzyczał : „Tato ! Tato ! Zobacz ! Czy widzisz wiatr ?...” Dojechawszy do mnie zrobił szybki zwrot w miejscu i obróciwszy się w tym samym co ja kierunku, stanął, wyciągnął rękę i pokazał mi poruszające się pod wpływem silnego podmuchu gałęzie. Robiły piekielny hałas więc mały musiał prawie krzyczeć żeby powiedzieć mi raz jeszcze : „Zobacz Tato ! Zobacz wiatr ! Bo wiesz, wiatru nigdy nie widać ! A on istnieje ! Popatrz na gałęzie drzew ! One dobrze wiedzą, że wiatr istnieje !” W tej samej chwili słońce znikło za horyzontem ; mój synek odwrócił się w lewo i rozkładając ramiona powiedział raz jeszcze.... „Patrz ! To tak jak z czasem ! Z czasem, który mija ! Jego też nie widać... a przecież istnieje... Tak jak wiatr, który przepływa przez gałęzie, i jak słońce, które zachodzi! No widzisz! Wszystko czego nie widzimy jest ogromne!”

Ostąpiłem ze zdumienia oczywistością chwili, słów, wiatru, kolorów, światła... Schowałem machinalnie do kieszeni trzy piękne kamyki, które Guillaume dopiero co mi powierzył. W chwilę później już gnał znowu prosto przed siebie. Kamyki stały się niezwykle cenne. I zapamiętałem : ... „Wszystko czego nie widać jest ogromne”.

Jak wiatry, które powracają co sezon i przeczesują naszą rozdygotaną pamięć, tak te fotografie z Polski wychodzą z głębi moich szuflad. Nasuwające się porównanie było poruszające a metafora tycząca przestrzeni i czasu - w zasięgu pamięci. Pudełeczko z kamykami i teczki z negatywami w tym samym meblu, w tej samej szufladzie... To najprawdopodobniej był mój sposób porządkowania. Tkwiła w tym bez wątpienia jakaś hierarchia ! W czasach ciemnych, szarych i czarnych, chciałem uchwycić i być może lepiej zrozumieć tamten świat rodem z króla Ubu, przecięty na dwoje, i jeszcze raz na dwoje! Publikacja moich fotografii, będąca specyficznym powrotem jest przede wszystkim oddaniem daru ofiarowanego mi przez tych, którzy zgodzili się być fotografowani. To był z ich strony swojego rodzaju prezent. Wiedzieliśmy wszyscy, że to jest „na później” ... Dzisiaj można w ciszy oglądać krzyżujące się z naszym spojrzenia portretowanych. Ileż chwilami kryje się w nich powściągliwości, cierpienia, wewnętrznej frustracji. Ileż okaleczonych, wzgardzonych lub zniszczonych istnień skrywają te zewnętrzne maski. Będące oczywiście również świadectwem siły, odwagi i determinacji w służbie nadziei. Moje fotografie oddają hołd ludziom milczenia, tym z podziemia, którzy nigdy nie będą mieli ani pomników, ani ulic, ani noszących ich imię lotnisk. I także tym, którzy ze zmęczenia utracili siłę i zrezygnowali.

Te fotografie dedykuję wszystkim kobietom i mężczyznom chwili obecnej i jutra, którzy wiedzą i będą wiedzieć, że pamięć jest trwała u tych z nas, którzy potrafią o nią rozumnie dbać. Dbać tak, aby wiatr historii przenikał jak przez drzewa, pozostawiając ulotne, niemniej jednak niezniszczalne ślady.

To oczywiste ! „Wszystko czego nie widać jest ogromne...” Dla fotografa - to poważne wyzwanie. Ale w oczach dziecka, w jesienny wieczór o zachodzie słońca, wszystko wydaje się możliwe...

Dla ciebie Guillaume, mój synu, są te fotografie, ziarna światła, ten album, jako część twoich korzeni, jak również dla wszystkich dzieci w Polsce.

Pierre Cottin. Luty 2010